

Socjologia a problemy społeczne

Z Kazimierzem Frieske rozmawia Paweł Szybka

Czy można ten świat poprawić? O tym, co się da zmienić i czego się nie da, a także o tym, że lepiej dwa razy się zastanowić zanim rozpocznie się reformy, mówi profesor Kazimierz Frieske.

Kazimierz W. Frieske, dr hab., profesor UW; absolwent socjologii UW (1971), doktor socjologii (1977, UW, promotor Adam Podgórecki); kierownik Zakładu Problemów Społecznych i Planowania Społecznego w IS UW oraz Zakładu Zbiorowych Stosunków Pracy w Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych. Zajmuje się socjologią stosowaną, procesami marginalizacji społecznej, efektywnością programów społecznej reintegracji oraz instytucjami dialogu społecznego (Rada Zatrudnienia, Trójstronna Komisja ds. Społeczno-Gospodarczych). Ostatnio opublikował m.in.: „Dialog społeczny i demokracja”, w: D. Zalewski (red.) *Dialog społeczny na poziomie regionalnym*, „Społeczne wykluczenie: o nicowaniu pojęć”, w: S. Golinowska (red.) *Ubóstwo i wykluczenie społeczne*, „Korupcja znana i nieznaną”, w: M. Jarosz (red.) *Polska: ale jaka*; kieruje redakcją miesięcznika „Polityka Społeczna”.

Paweł Szybka: Panie Profesorze, czy socjologia może być użyteczna?

Kazimierz Frieske: Przede wszystkim socjologia pozwala nam lepiej zrozumieć świat, w którym żyjemy. Myślę, że socjologia jest użyteczna „szaremu człowiekowi” także dlatego, że pozwala stawiać takie pytania, których pogrążony w oczywistościach zdrowego rozsądku człowiek stawiać sobie nie ma okazji. Innymi słowy, socjologia pozwala dostrzegać złożoności otaczającego nas świata, których z poziomu zdrowego rozsądku się nie widzi. Kiedy prowadzę wykład, na przykład ze wstępu do socjologii, to powiadam, że każdy z nas jest socjologiem właśnie na takim poziomie zdrowego rozsądku. No bo każdy, w gruncie rzeczy, ma jakieś przekonania o tym, jak ten otaczający nas świat jest urządzony, czy działa dobrze, czy źle. Każdy z nas wie, jak poruszać się w świecie instytucji itd. Na poziomie zdrowego rozsądku każdy z nas jest więc w jakimś stopniu socjologiem. Jednak z czasem okazuje się, i to łatwo pokazać za pomocą rozmaitych przykładów, że ta „zdroworozsądkowa socjologia” popada niekiedy w bolesną sprzeczność z tą socjologią, nazwijmy ją, aka-

demicką. Zdrowy rozsądek podpowiada, że jak na jakiś kraj nałożyć sankcje gospodarcze, to obywatele tego kraju, wkurzeni do niemożliwości trudnościami codziennego życia, zaczną się awanturować i obalą dyktatora – przykład Iraku. A tymczasem okazuje się, i to w ramach akademickiej socjologii można znakomicie zrozumieć, że ludzie się integrują wokół tego dyktatora. Zdrowy rozsądek tego nie dyktuje. To dyktuje wiedza już z innego poziomu. Co więcej, socjologia, ta socjologia akademicka, podrzuca nam szereg fascynujących pytań, których z poziomu zdrowego rozsądku nie dostrzegamy. Pozwala nam zrozumieć, w jakiej mierze nasze myślenie jest kształtowane przez świat, który nas otacza. Jeżeli tak, to pozwala nam zdobyć się też na jakąś indywidualną autonomię. To znaczy pozwala dostrzec, co we mnie jest „moje własne”, a co zostało mi jakoś narzucone przez społeczny kontekst, w którym przyszło mi żyć. Pozwala mi śledzić to, jak próbuje się mną manipulować, czy jak próbuje się mnie kształtować.

Tak rozumiana socjologia w tym sensie jest właśnie użyteczna, że pozwala lepiej orientować się człowiekowi w świecie, który go otacza.

Chciałbym jednak zapytać o taką instrumentalną przydatność socjologii, do realizacji celowej zmiany społecznej.

Cała kultura mentalna, z której wyrosłem, środowisko, które mnie ukształtowało, czyli krótko mówiąc, grupa ludzi zorganizowanych wokół Adama Podgóreckiego zwykła uważać, że tak – da się pokazać taki pożytek z socjologii dla realizacji planowej zmiany społecznej. Wyrazem tego myślenia jest koncepcja socjotechniki Adama Podgóreckiego. Oczywiście nie jest ona specjalnie oryginalna. Jeżeli dobrze „poskrobać”, to okaże się, że każda idea ma swoich prekursorów. Ale tak naprawdę z biegiem czasu staję się coraz bardziej sceptyczny w stosunku do tej idei.

Na jakich przesłankach jest budowany ten sceptycyzm?

Może po kolei. Po pierwsze, gdy wracam do starych, jeszcze dziewiętnastowiecznych sporów o charakter nauk społecznych, to coraz częściej przychodzi mi do głowy myśl, że socjologia nie jest jednak nauką nomotetyczną. Krótko mówiąc, coraz bardziej robię się sceptyczny wobec idei praw społecznych rozumianych jako prawa nauki.

Dlaczego?

Odpowiedź jest prosta. Taka mianowicie, że – z pominięciem całej złożonej debaty filozoficznej dotyczącej przyczynowości – wydaje mi się, iż w naukach społecznych niesłuchanie trudno jest ustalać związki przyczynowo-skutkowe. Bardzo trudno jest, posługując się warsztatem socjologii empirycznej – czy jest to socjologia sondażowa, czy niesondażowa – pokazać, mówiąc najkrócej, że coś jest warunkiem koniecznym i wystarczającym czegoś innego. W boleśnie prostych schematach analitycznych mówimy, że A jest przyczyną B, ale zazwyczaj jest przecież tak, że A jest tylko jednym ze składników

warunku koniecznego B. Jeżeli tego nie umiemy porządnie pokazać, jeżeli tak naprawdę pokazujemy tylko warunki sprzyjające zajściu czegoś, pokazujemy okoliczności, które zwiększają prawdopodobieństwo tego, że coś innego się zdarzy, to obietnica zawarta w socjologii jest dość miękka. Niech Pan sobie wyobrazi, że idzie Pan do praktyka – polityka, administratora – i mówi Pan tak: „Słuchaj Maniek, jeżeli zrobisz to czy tamto, to masz duże szanse, ale w gruncie rzeczy ja nie wiem, jakie, że uda ci się osiągnąć to, o co tak bardzo zabiegasz”. No to wielkimi kopami zostanie Pan pogoniony precz. Czy wyrażam się klarownie?

Zdecydowanie.

Jest to więc pierwsza przesłanka. Któż to był Monteskiusz? Kiedy się zajmował filozofią historii – w sporze z providencjalizmem. Monteskiusz opowiadał, że bieg dziejów ma charakter przyczynowo-skutkowy. Sugerował, że bieg dziejów kształtuje nie Opatrzność, lecz mniej lub bardziej złożony ciąg przyczyn i skutków. Na takim poziomie makro to może i miał rację, ale kiedy przechodzimy do detali, do problemów konkretnego społeczeństwa...? Oczywiście, możemy teraz poprowadzić długi spór o to, jak w naukach społecznych zmiekczyć tę twardą koncepcję przyczynowości. To długa dyskusja, która nas szczególnie daleko nie zaprowadzi, bo trzeba by było cofać się i rozważać rozmaite filozoficzne koncepcje przyczynowości. Obietnica, jaką praktyk może dostać, zawiera zawsze jakiś element fałszu. I to wynika z samej struktury naszej wiedzy. Ale jest jeszcze coś innego. Żyjemy w społeczeństwie demokratycznym. Mało kto chce o tym myśleć i mało kto chce o tym mówić, ale prawda naukowa nie jest demokratyczna. Prawda naukowa jest jak tyran: albo coś jest prawdziwe, albo fałszywe. Tymczasem siłą demokracji jest kompromis i konsensus, jaki się buduje na tym kompromisie. Z punktu widzenia człowieka, który wie, co jest prawdą, kompromis jest zawsze fałszem. Dochodzimy więc do tego, że demokracji należałoby przeciwstawić merytokrację. Tym demokratycznie, procesualnie, kompromisowo wypracowywanym w debacie publicznej decyzjom przeciwstawić takie decyzje, które sugeruje wiedza eksperta. Stary problem króla filozofa. Na to nakłada się problem wartości. Wielu pytało, czy istnieją bezstronni eksperci. Na wykładach o tym wszystkim opowiadam – nie ma takich. Zawsze ludzkie myślenie jest uwikłane w świat wartości, a Weberowska teza o tym, że nasza bezstronność jest chroniona przez respekt dla reguł warsztatu naukowego, wydaje się dość ulotna. We współczesnym świecie te reguły warsztatu naukowego „rozłazały się pod palcami”. Jeszcze Weberowi mogło się wydawać, że w zgodzie z regułami warsztatowymi można przeprowadzić dystrynkcję między wiedzą naukową a wiedzą pozanaukową. Teraz staje się to coraz bardziej płynne. Ja próbuję powiedzieć tak: Jeżeli cenimy sobie coś takiego, co nazywamy demokracją, jakkolwiek byśmy ją opisywali – reprezentatywną, partycypacyjną, dyskursywną, deliberatywną – to w gruncie rzeczy kładziemy

nacisk na konsensus, który klóci się z tyranią eksperta, tyranią wiedzy, pewnością, jaką obiecuje merytokrata.

Jest jeszcze jeden argument, podnoszony w literaturze dotyczącej *public policy*. Gdy podejmujemy decyzje, opierając się na rozmaitych kompromisach, to: po pierwsze, stabilizujemy system polityczny, a po drugie, oczywiście nie maksymalizujemy korzyści, ale zmniejszamy prawdopodobieństwo popełniania bardzo zasadniczych błędów. Czasem takich błędów, z których wycofać się jest niesłychanie trudno.

Ale za to możemy popełniać mniejsze błędy...

No tak, ale one mają tę zaletę, że są mniejsze. Wyobraźmy sobie, że ktoś nagle wpadłby na pomysł, żeby oprzeć systemy energetyczne świata na energii jądrowej. Wszystkie kopalnie, szyby naftowe zgniją, zardzewieją, będziemy mieli tylko tę energię jądrową. Nagle może się okazać, że to ma jakieś, w tej chwili nieprzewidywalne, konsekwencje. Systemy te mogą, mimo wszystkich zabezpieczeń, produkować nam Czarnobyle. Ale wtedy powrót do starych technologii jest już niesłychanie trudny. A co zrobić z *nuklear waste*? Póki co wywozi się to do Afryki i gdzieś zakopuje. Ale prędzej czy później to da o sobie znać. Tak więc może lepiej szukać kompromisów, przedłużać te zróżnicowane, zdywersyfikowane rozwiązania energetyczne. To taki pierwszy z brzegu, oczywisty przykład. Co więcej, losy Platona pouczają, że jeżeli ekspert obstaje przy swoim rozwiązaniu – a jeżeli jest porządnym ekspertem, to powinien tak robić – to zwykle marnie wpisuje się w system polityczny.

Rozumiem. Czy to już wszystkie przesłanki składające się na pański sceptycyzm?

Trzeci typ argumentacji, na której buduję swój sceptycyzm, byłby taki. Załóżmy, że mamy porządną wiedzę, że kontrolujemy rozmaite zmienne, że ustaliliśmy i zrozumieliśmy związki przyczynowo-skutkowe, jakich nam potrzeba, że socjologowie potrafią skonstruować projekt zmiany społecznej. Załóżmy optymistycznie, że jest on porządny. I co się dzieje? Ten projekt musi być jeszcze zrealizowany. Natychmiast okazuje się, że w procesie implementacji ulega on rozmaitym odkształceniom. Bo ktoś czegoś nie zrozumie, ktoś spróbuje przy okazji załatwić swój mały interesik, nie mamy dostatecznie dobrego personelu itd. Co więcej, po drodze zmieniają się okoliczności, warunki zewnętrzne. Ów wyśmienity projekt w procesie implementacji ulega zatem rozmaitym zniekształceniom. Okazuje się, że końcowy rezultat jest niekoniecznie taki, jakiego projektant oczekiwał i że na ten proces implementacji, który jest przecież procesem społecznym, nie ma on większego wpływu. Jeżeli nie jest zamordystycznym tyranem. Ale świat to nie obóz koncentracyjny. Ludzie wnoszą w te projekty i coś dobrego, i coś złego.

Mimo to i w przeszłości, i obecnie podejmowano próby wprowadzenia takich fundamentalnych reform w życie.

Ja uważam takich projektantów całościowej zmiany społecznej za ludzi niebezpiecznych, których trzeba się wystrzegać. Całą tę argumentację można właściwie znaleźć u Poppera. Nawet jeżeli on czegoś nie pisze w *Otwartym społeczeństwie*, to widać wyraźnie, że przeczuwa. Jeżeli jakaś z tego płynie rada, to taka, że socjolog może współtworzyć projekty zmiany społecznej, ale najlepiej byłoby gdyby one były nieduże i mało kosztowne. Mało kosztowne w sensie zasobów, jakie trzeba uruchomić, żeby projekt zacząć wdrażać, ale też mało kosztowne w tym sensie, że jeżeli pomylimy się, to skutki nie będą dramatyczne. Co więcej, to powinny być takie projekty, z których w każdym momencie można się wycofać, jeżeli zaistnieje prawdopodobieństwo, że jednak się pomyliliśmy. Mówiąc krócej, warto jest, przy pomocy socjologa, w mikroskali i krok po kroku realizować tę starą ideę eksperymentów społecznych. Wiedza socjologiczna, jaką gromadzimy, pozwala nam dostrzec, że realizując cel, na którym nam zależy, musimy się liczyć z tym, co ekonomiści nazywają efektami zewnętrznymi, a socjologowie skutkami ubocznymi. Te skutki uboczne, takie dodatkowe konsekwencje podejmowanych działań, czasem bywają pozytywne, a czasem negatywne. Próbuję powiedzieć, że socjolog przede wszystkim może przestrzec: „dobra, pomysł jest świetny, tylko zastanów się, jakie to daje konsekwencje, uboczne skutki”. I może się okazać, że koszty tych skutków ubocznych są takie, że lepiej zrezygnować z zacnego celu. Jeżeli więc robimy eksperymenty społeczne w małej skali, to kiedy zaczynają się pojawiać negatywne skutki uboczne, które okazują się zbyt kosztowne, może lepiej się „rakiem wycofać”.

A co, jeżeli nie są to już „eksperymenty”, lecz projekty, które się wcześniej sprawdziły? Czy również należy wycofywać się z ich realizacji, kiedy pojawia się chwilowe zagrożenie negatywnymi konsekwencjami? Przecież ostatecznie wcześniej podobne przedsięwzięcia zakończyły się sukcesem...

W języku unijnych programów strukturalnych, pojawił się jakiś czas temu termin „dobre praktyki”. Zdobył on pewną popularność. Powiedzmy, że mamy jakiś program socjalny, który zadziałał. Nawet z uważnej analizy nie wynika, że przyniósł on jakies dewastujące skutki uboczne. Ale przecież, Popper o tym poucza, replika tego programu w innych okolicznościach jest niesłuchanie ryzykowna i nie niesie ze sobą dobrze uzasadnionej obietnicy sukcesu.

Myślę, że socjolog przydaje się nie tyle po to, żeby projektować zmianę społeczną. To zostawiłbym innym: rozmaitym oszołomom, wizjonerom, fantantom, politykom wreszcie. Niech oni sobie to robią. Socjolog może natomiast rozsądnie powiedzieć, jakie są rezultaty tych przedsięwzięć. I tutaj uruchamia się cała seria procedur, które pomału zaczynają wchodzić do języka i myślenia socjologów – rozmaite kierunki analiz związane z *evaluation studies*. Mówią one, z grubsza rzecz biorąc: „No dobra, coś zrobiliście, ale nie wypinajcie jeszcze piersi do orderu. Spróbujmy sprawdzić, jakie są efekty tego, co zrobiliście.

Wtedy będziemy wiedzieć, czy was nagradzać, cmokać, czy może lepiej po-wiedzieć – odczepcie się”.

W związku z tym, co Pan powiedział, czy wszystkie wątpliwości doty-czące zastosowań socjologii nie oznaczają, że socjologia w ogóle nie jest po-trzebna.

Nie, z całą pewnością nie oznaczają.

W skali mikro zatem socjologia jest użyteczna, a wiedza socjologicz-na jest z pewnością wykorzystywana w praktyce. Zajmuje się Pan mię-dzy innymi problemami społecznymi. W związku z tym skupmy się może na przykładzie bezrobocia. Czy bezrobocie jest takim problemem, którym socjolog może się zająć i powinien się zająć?

Pewnie, że tak. Jednak to, jak socjolog się zajmuje bezrobociem, zależy w dużej mierze od tego, jak rozumie termin „praca”. W uproszczeniu – bezro-bocie oznacza dla jakiegoś segmentu populacji brak pracy. Ale teraz pomyślmy, czy ta definicja wystarczy. Jakie funkcje pełni praca i co, kiedy jej nie ma? Gdy zajmuję się tą problematyką, próbuję opowiadać, że oczywiście praca służy wytwarzaniu dóbr, towarów, zasobów. Ale coraz częściej okazuje się, że nie-konieczniam o to chodzi. Tych zasobów nasze społeczeństwa produkują dużo i problem jest z ich alokacją. Powiada się, że problem polega nie na produk-cji, ale na dystrybucji. Aby system ekonomiczny funkcjonował, musimy trzy-mać się jakichś reguł dystrybucji, które nie rujnowałyby rynku. Drugi problem. Od starożytności właściwie wiemy, że na pracę można patrzeć dwojako: może być kreacją, twórczym wzlotem człowieka, może też upadlać. Zapytalibyśmy o wartości wbudowane w pracę. Ale jest jeszcze jedna bardzo ważna funkcja pracy – to, że w nowoczesnych społeczeństwach praca jest wykonywana za-zwyczaj nie tak „w ogóle”, lecz w jakichś strukturach organizacyjnych. Znacze-nie tego oczywistego faktu dla objaśniania PRL-u dostrzegł warszawski socjo-log Winicjusz Narojek w odniesieniu do tzw. socjalistycznego zakładu pracy. Organizacja pracy pełni ważną funkcję kontroli społecznej. To, że człowiek pracuje, a zatem że jest uwikłany w skomplikowaną strukturę organizacji pracy, działa jak mechanizm kontroli społecznej, która rutynizuje i instytucjonalizuje rozmaite ludzkie aktywności. Jeżeli człowiek jest wyjęty z tego społecznego ładu pracy, to przestaje działać jeden z takich ważnych mechanizmów kontroli społecznej. W ten sposób bezrobotny przekształca się, mówiąc kolokwialnie, w menela.

Podstawową rolą, jaką pełni praca, jest więc nie produkcja dóbr, lecz kontrola społeczna?

Myślę, że dla takiego socjologa jak ja, który problematykę kontroli spo-łecznej uważa za ważną i stawia sobie takie bardzo tradycyjne pytanie – o me-chanizmy podtrzymujące porządek społeczny, taka funkcja pracy jak kontrola społeczna jest kluczowa. Uważam, że bezrobocie w dużej mierze jest groźne

z tego punktu widzenia, nie tylko ze względów dochodowych. Oczywiście trzeba powiedzieć, że bezrobocie to jest taki, jak mówią Anglicy, *generic term*. W istocie nie ma niczego takiego jak bezrobocie. Są tylko rozmaite formy, typy i postaci bezrobocia. To jest także polski problem. Widać wyraźnie, jeżeli spojrzymy na dane dotyczące polskiego bezrobocia, że dynamika jego spadku jest zupełnie niewspółmierna z dynamiką spadku bezrobocia długotrwałego – powyżej 12 miesięcy, czy *very long time unemployment* – powyżej 24 miesięcy. Krzywa bezrobocia w ostatniej dekadzie bardzo ostro spada, jest bardzo skośna, a bezrobocie długookresowe trwa: 350–450 tysięcy ludzi, których na rynek pracy już się nie wepchnie, a w każdym razie nie zrobi się tego w prosty i tani sposób. W związku z tym myślę, że problemem jest przede wszystkim bezrobocie długookresowe. Co z tym segmentem bezrobocia robić?

Inna kwestia. Nasza uwaga przez ostatnie 10–15 lat koncentrowała się właśnie na bezrobociu. Ja tymczasem od kilku lat próbuję wszczepić w społeczne myślenie pojęcie *underemployment*. Jeszcze nie mamy polskiego terminu – to nie jest niepełne zatrudnienie. Sądzę, że w miarę jak gospodarka się dynamizuje, *underemployment* zaczyna być równie ważnym problemem społecznym jak samo bezrobocie. Warto się temu uważnie przyglądać. Na świecie coraz częściej się o tym pisze. Jednak takie „niedo zatrudnienie”, „ułomne zatrudnienie” – nie wiem jakiego polskiego terminu użyć – przynosi rozmaite fatalne konsekwencje. W tej samej mierze fatalne dla gospodarki, co dla społeczeństwa.

Na czym owo *underemployment* polega? Jakie są jego konsekwencje?

Studia prowadzone przez kwantytatywnie zorientowanych ekonomistów zajmujących się rynkiem pracy pokazują, że „nieregularne zatrudnienie”, to znaczy zatrudnienie krótkookresowe, powoduje spadek produktywności. To jest jedna linia argumentacji. Druga jest taka, że *underemployment* powoduje rozmaite demobilizujące konsekwencje społeczne: wycina z rynku kredytów, wycina z rynku mieszkaniowego. O tym właśnie zaczyna się mówić w odniesieniu do amerykańskiego rynku pracy. Istnieją też poważne analizy mówiące to samo o konsekwencjach *underemployment* na hiszpańskim rynku pracy. Tam pokazuje się, że jedną z kluczowych cech ludzkiej kondycji psychicznej jest coś, co psychologowie społeczni nazywają „poczuciem kontroli własnego losu”, według czego ludzie budują swoją indywidualną tożsamość – ważna zmienna. To poczucie kontroli własnego losu jest równie niskie wśród bezrobotnych jak wśród tych, którzy pracują w „ułomny sposób”, to znaczy na krótkookresowych kontraktach czy podejmują pracę wymuszoną w niepełnym wymiarze. Wydaje mi się, że u nas to zaczyna być również problemem. Kiedyś wprowadzałem do polskiego współczesnego myślenia problematykę podklasy, wykluczenia społecznego. Mam takie ambicje, żeby wprowadzić jeszcze tę problematykę – *underemployment*.

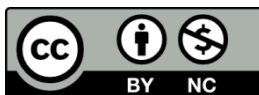
Czyli jednak w jakiś sposób socjolog może wpływać na rzeczywistość...

Tak, oczywiście, tylko że jest to wpływ w mało efektywnym, korepetycyjnym trybie.

Czyli raczej pośrednio.

Bardzo pośrednio, budując strukturę społecznej wyobraźni czy wpływając na to, jak ta społeczna wyobraźnia jest kształtowana. I uskrótniając się. Myślałem, że skromność jest tu kluczowym słowem. To nie jest tak, że ja, socjolog, wszystkie rozумы pozjadałem, jest natomiast tak, że ja – socjolog – uczestniczę wraz z innymi ludźmi w obrazowaniu rzeczywistości, która nas wszystkich otacza. Czasem nie udaje mi się „przepchnąć” swojego punktu widzenia, ale niekiedy się udaje. Był taki pedagog, którego sobie bardzo cenię – Czesław Czapów. W latach 50. zdołał w jakimś momencie przekonać opinię publiczną, a także możnych ówczesnego świata, ten peerelowski establishment polityczny, że chuligan to nie jest rezultat imperialistycznej dywersji ideologicznej, lecz że jest to człowiek, który przeżywa głęboką frustrację. Proszę zwrócić uwagę, że postawienie takiej tezy zmieniło sposób myślenia. Moim zdaniem to był życiowy sukces Czesława Czapówa. Idąc tym tropem, zdołałem coś powiedzieć o rozmaitych wymiarach marginalności społecznej, o wykluczeniu społecznym. Jeżeli uda mi się jeszcze powiedzieć, że jest coś takiego jak *underemployment* i że to jest ważne, że elastyczność rynku pracy to jest zła idea, którą można fatalnie spaprać właśnie przez rozluźnianie zasad ochrony zatrudnienia, to będę całkiem zadowolony z realizacji praktycznej misji jednego skromnego socjologa.





Po co nam socjologia?

Książka dla kandydatów na studia socjologiczne i studentów

Rozmowy opracowali

Tomasz Kukołowicz oraz Stanisław Maksymowicz, Dominika Michalak,
Paula Płukarska, Piotr Kowalski, Paweł Kłobukowski

przy współpracy Róży Sułek

Ilustracje

Piotr Kosiński

Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

Fundacja na rzecz Warsztatów Analiz Socjologicznych

Warszawa 2009